№ 3.

Warszawa, dnia 18 Stycznia 1862 r. 6 Stycznia.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3), *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

ALEXANDER (SANDOR) PETOEFI.

Petoefi jest głównym przedstawicielem narodowéj poezji węgierskiéj; pieśń jego przeszła w usta całego narodu: brzmi ona w pałacach magnatów, równie jak pod wieśniaczą strzechą. Wielki ten poeta, w ciągu dwudziesto-kilko-letniego życia, burzliwych doznał kolei. Syn prostego rzeźnika, urodził się w 1823 roku w Szabad Szallas, na puszczy węgierskiéj, gdzie ojciec trzymał *Czardas*, czyli oberżę. Rodzice wysłali go zawczasu do szkół w poblizkiém mieście. Zdolność do nauk i poezji objawiła się w nim od najmłodszych lat, ale burzliwy i samowolny umysł wychowanka stepu, nie dał się w żaden sposób nagiąć pod prawidła szkolnéj karności. W piętnastym roku uciekł ze szkół do Pesztu i tam zaciągnął się do towarzystwa aktorów. Ojciec przybył wkrótce potém do stolicy, a odkrywszy syna, zabrał go gwałtem z sobą. Młody Peteofi odesłany znów do liceum, zaciągnął się do wojska. Przez lat dwa zamiatał sień w koszarach, a przytém czytywał Horacego, i węglem na ścianach kreślił pierwsze swe poetyczne próby.

Oddalony ze służby dla słabego zdrowia, po dwóch latach wrócił do domu, przeprosił rodziców i zgodnie z ich wolą odbywał dalsze nauki. Nareszcie, czując szczególne upodobanie w sztuce drammatycznéj, przystał do towarzystwa wędrownych aktorów i przejeżdżał od miasta do miasta, odgrywając role podrzędne. Obok tego pisywał ulotne wiersze, które drukowano po pismach i zbiorach literackich.

Podczas, kiedy na scenie wygwizdywano niedołężnego aktora, pieśni jego obiegały całe Węgry. Ośmielony pozyskanym rozgłosem Petoefi, wrócił

do Pesztu i z całym zapałem oddał się poezji. Pierwszy zbiór jego utworów wyszedł w Budzie w roku 1844. Zachęcony powszechnym poklaskiem, zaczął pisać małe epopeje z podań ludu; z tych jedna pod tytułem: *Witeź Janos*, znakomitą ma wartość.

Około roku 1846 dziwna zmiana spełniła się w duszy poety. Poznał młodą Julję Szendry, która miała zostać towarzyszką dni jego. Ale ojciec jéj, znając gwałtowny charakter młodziana, długo nie pozwalał na te związki. Petoefi wytrwałością przełamał opór, i w roku 1847 poślubił Julję. W tymże czasie talent poety doszedł do zupełnéj dojrzałości; moc połączona z wdziękiem piętnuje każde jego słowo. Równie ukochany od prostaczków jak i od uczonych, porywał serca młodzieży i budził w nich szczery zapał.

Młody poeta poległ pod Segiswarem 31 Lipca 1849 roku, licząc niespełna lat dwadzieścia sześć. Podczas pamiętnego odwrotu, zapuścił się z towarzyszami w ciemne wąwozy Karpat, zkąd więcéj nie powrócił. Nie znalcziono nawet jego ciała— tylko pieśń wielkiego poety przyświeca Węgrom, jako najżywotniejszy objaw ducha narodowego. Poezje Petoefiego tłómaczono na język niemiecki, francuzki i angielski; a jako próbę tego znakomitego, a tak przedwcześnie zgasłego talentu, dajemy tu przekład jednego z jego poetycznych utworów, pod tytułem:

MOJA MYŚL.

Dziwni ludzie! mówią oni
Że twórczego brak mi ducha,
Że po ziemi myśl ma goni—
Na głos wyższych natchnień głucha.

Tak, po ziemskiéj nieraz drodze
Utęsknioném okiem wodzę,
A gdy pierś mą chłód oziębi,
To zstępuję nawet głębiéj.

Wzrok jak nurek ślę w otchłanie,
Na dno fali ślę bezdennéj—
I w serc ludzkich oceanie
Szukam perły drogocennéj.

Ale niechno rzeknę do niéj:
Myśli moja! hej do góry!
Ona leci, w skrzydła dzwoni—
Istny ptaszek złotopióry.

Niechże dodam jéj podniety,
A przez góry, stepy, wody—
Na jéj skrzydłach, jam do mety
Gotów z orłem biedz w zawody.

A gdy orzeł sam się znuży,
Jeszcze lotna myśl w zachwycie,
Patrząc śmiało w oczy burzy,
Goni chmury po błękicie.

Ach! jéj gromy nie przemogą...
Wskróś przebija chmur tumany—
I podąża prostą drogą
W sklep niebiosów niezbadany.

Gdyby nawet wyższa siła
Słońca promień nagle zćmiła—
Mimo słońca blask przymglony,
Ona w wyższe leci strony.

I pogląda łzawém okiem
W świetne niegdyś to oblicze,
Które zćmiły grubym mrokiem
Dziś tumany tajemnicze.

Lecz jéj ciemność zmódz nie zdoła,
Jéj nieznane trwogi, dreszcze;
Nad dróg mlecznych jasne koła,
Myśl natchniona dąży jeszcze.

I nie prędzéj skrzydła złoży,
Aż do Niebios sięgnie łona—
I odpocznie w myśli Bożéj
Czysta, święta, spromieniona.

Seweryna Pruszakowa.

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

(Dokończenie)

Zdarzyło się zapewne niejednéj z Pań czytać mnóstwo afiszów i ogłoszeń w dziennikach francuzkich, w których jakaś uczennica Liszta podaje do wiadomości nową przez siebie wynalezioną metodę nauczenia muzyki w dwudziestu pięciu lekcjach; albo pierwsza wychowanka konserwatorjum muzycznego podejmuje się dawać lekcje na fortepianie za franka godzinę, lub podobną inną reklamę, bardzo często tu we Francji z całych sił bijącą w bęben dziennikarskiego rozgłosu, jedynie na korzyść intrygować umiejącéj miernoty. Szarlatani zawsze z toni i topieliska na powierz-

chnię wody swą łódkę wyprowadzić potrafią, skromna tylko zasługa zwykle cierpi głód na poddaszu i wylewa gorące łezki.

Z tego to powodu towarzystwo wsparcia, *Instytut sztuk i rzemiosł dla kobiet*, o którém mówię, położyło sobie za główny cel odszukiwać te biedne istotki, których serduszko tak żywo bije i tak silnie się jeszcze wyrywa do tego, co czyste i szlachetne w życiu człowieka; te dzieci natury, tak rzadkie w paryzkich strefach, co inaczéj, jak łzami z przeciwną dolą i obojętnością świata, walczyć nie umieją. Towarzystwo to wszakże przychodzić będzie w pomoc również każdéj biednéj dziewczynie i pomieszczać bądź na mieście, bądź we własnych warsztatach i fabrykach, które założyć zamierza.

Do składu stowarzyszenia tego wchodzić mają same kobiety: jedna prezydentka, dwie prezydentki honorowe, jedna wice-prezydentka i sześć radczyń, sterniczek cnoty młodych dziewczyn w stolicy zbytku i rozpusty. Osoby chcące patronować temu towarzystwu, wnosić są obowiązani 200 frank. składki rocznéj, a członkowie tylko połowę. Obce wszelkiemu duchowi partji, religji i dążności, stowarzyszone wzywają wszystkie bez wyjątku damy i przyjaciół ludzkości do współdziałania. Współdziałanie to niesioném być może albo w datkach pieniężnych jednorazowych i składkach stałych, albo w wyrobach, podarunkach i pracy na korzyść panienek patronowanych.

Ta piękna, wzniosła i użyteczna myśl, dopiero co odszkicowana, nie weszła jeszcze w wykonanie, wszakże tak dalece ona praktyczną, użyteczną, potrzebną i łatwego zastosowania w naszym kraju być mi się wydała, że w moich pobieżnych uwagach o towarzystwie i życiu społeczném paryzkiém, przemilczeć i pominąć jéj nie mogłem.

—Niedawno w Londynie wznowione zostały posiedzenia czyli *meetingi*, odbywające się zwykle o północy, a mające na celu ocalenie płochych i lekkomyślnych kobiet, jak je Anglicy nazywają. Meetingi te zwołują powszechnie duchowni protestanccy, którzy spacerując wieczorami po ulicach Londynu, dają każdéj spotkanéj przez siebie bilet zapraszający na kolacją. Kolacja ta zastawia się zwykle o północy w ogromnéj i wspaniałéj sali. Po skończeniu uczty, moraliści-filantropi występują na mównicę, rzną wezwania stosowne i nauki. Przeszło dwadzieścia takich meetingów odbywa się w różnych dzielnicach stolicy Wielkiéj Brytanji. Wydatki na lokal, przyjęcie, światło i inne potrzeby, pokrywają się zwykle z datków przynoszonych przez wielkie panie i bogatych a pełnych serca ludzi. Po kolacji duchowni również zabierają głos i przemawiają do zaproszonych z całą zgrozą ludzi brzydzących się upadkiem moralnym człowieka, a szczególniéj tak poetycznéj istoty, jaką jest kobieta na ziemi. Mowy te przynoszą zwykle taki skutek, jaki stare przysłowie francuzkie już przewidziało: *Quand le diable vieillit il se fait l'ermite.*

Otóż kobiety, co oddawna straciły młodość, dają się wprowadzić do domów przytułku, opieki, gdzie uczą je zarabiać na kawałek chleba przez zaszczytną i uszlachetniającą pracę. Niedawno jeden jenerał nazwiskiem Godwin, na tak urządzonym meetingu, zwrócił uwagę na podobne zepsucie zwyższych sfer towarzystwa. Według zdania tego zacnego wojaka, ocalenie i nawrócenie do dobrego trudniéj tu przychodzi jak gdzieindziéj, a to dlatego, że dawne patrycjanki nie mają wcale chęci do pracy.

Jenerał Godwin błagał i zaklinał możne damy, aby nie szczędziły swych starań w dziele tego rodzaju poprawy i aby zaprzestały kupować towarów w tych magazynach, gdzie za kantorami stoją mężczyźni, a kobiety nie gorzéj od nich mogłyby pełnić służbę i tym sposobem znaléść godziwy środek utrzymania życia.

Tak do Londynu, jak i do Paryża, ogromna ilość kobiet wciąż garnie się z prowincji. W Londynie znajduje się obecnie 200,000 kobiet, które na połówce pokarmu koniecznego do przyzwoitego utrzymania życia poprzestać muszą; a 30,000 takich, co bez mieszkania, odzieży, pokarmu i przytułku żyją jak lilje polne, o których nam wspomina Święta Ewangelja. W odwrotnym stosunku tego zamiłowania życia w stolicach, środki utrzymania dla nich coraz trudniejszemi się tu stają. Szycie ręczne w wielkiéj ilości zastąpiły maszyny, służbę w kawiarniach, restauracjach i hotelach, a nawet prywatnych domach pełnią tu obecnie i oddawna już mężczyźni. Cóż więc pozostaje tym nieszczęsnym istotom, szukającym w wielkich miastach lekkiego zarobku i poprawy bytu? Zamiatać ulice, jak tu w Paryżu robi większa część wieśniaczek z Niemiec przybyłych....

—Jednym z najznakomitszych francuzkich pisarzy, badających stanowisko klass rzemieślniczych i wyrobników we Francji, jest niewątpliwie moralista Juljusz Simon, autor wielu dzieł powagę uczoną mających. Niedawném jego dziełem, w duchu wysoko moralnym napisaném, jest bezzaprzeczenia *L'Ouvrière* (wyrobnica). Autor rozwinął tu obecnie swe studja nad położeniem anormalném i demoralizacyjném kobiet, na jakie tegoczesny przemysł fabryczny skazuje nieszczęsne istoty, z pracy rąk własnych żyć i jednocześnie potrzebom domowego gospodarstwa u siebie zadosyć uczynić przymuszone. Pan Simon opisuje nędzę wyrobnic, ja-

ko następstwo konieczne zastąpienia w znacznéj ilości ręcznéj pracy przez machiny różnego rodzaju. Mniema on, że nie w powrocie do dawnych rzemieślniczych stowarzyszeń i cechów, jak wielu teoretyków i publicystów niemieckich utrzymuje, znaléść można środek zapobiegający téj nędzy, która się coraz więcéj krzewi; wsteczność podobna ani możliwą, ani skuteczną dziś być zdoła. Kiedy wszystko co nas otacza kształci się, doskonali i naprzód posuwa, kiedy drogi żelazne i zastosowanie do pracy wszelkich machin parą, wodą lub wiatrem (turbines) poruszanych, sprowadziły radykalną zmianę w systemacie pracy i handlu, szaleństwem bezowocném byłoby dziś cofać się do dawnych cechów, do przestarzałych ograniczeń, monopolizacji i wyłączeń, które jeszcze szkodliwsze sprowadziłyby następstwa w stanowisku tak licznéj obecnie klassy wyrobnic. Pan Simon, jak większa część angielskich i francuzkich ekonomistów, widzi nieoceniony, najpotężniejszy środek zapobieżenia nędzy wyrobników w wolnych stowarzyszeniach klass przemysłowych, w kassach pożyczkowych i oszczędności, w ochronkach, szpitalach, domach przytułku dla starców, kalek i dzieci wyrobniczych klass ludności.

Wszakże wszystkie powyżéj wymienione środki pan Simon uważa za niedostateczne dla polepszenia losu kobiet wyrobnic, odwrócenia nędzy i koniecznego jéj następstwa—rozwiązłości obyczajów. Aby utrzymać wyrobnice w naturalnéj sferze działania, z któréj wysuniętemi zostały coraz wzrastającym więcéj przemysłem fabrycznym, pan Simon radzi ograniczyć tę sferę wyłącznie do ogniska domowego pożycia, do starań nad dziećmi i rodziną. Tylko w podniesieniu i uzacnieniu rodzinnego życia widzi autor jedyny środek zbawienia. Wszakże o ile wzniosłą, wysoko-chrześcijańską i skuteczną znajduje myśl pan Simon, o tyle trudną i mozolną zdaje mu się być do osiągnienia. Dlatego to, radzi on ojcom rodziny, kobietom wszelkich klass społeczeństwa, duchowieństwu bez różnicy wyznań, radcom i członkom wszelkich filantropijnych i przemysłowych stowarzyszeń, jak również wszystkim ludziom, których serce jest zdolne dać przystęp szlachetnemu współczuciu dla cierpiących, aby wspierali radami, wpływem i wszelkiego rodzaju pomocą i ofiarą ludzi bez funduszów, w kółko rodzinnego życia wprzężonych. Taka to jest dążność tego wysoko-moralnego dziełka, które pragnąłbym moim czytelniczkom od początku do końca wytłómaczyć. Prawda, że w naszéj przemożnie rolniczéj, nie zaś przemysłowéj Polsce, nie znamy takiego przeludnienia, jaki Zachód mocno trapić zaczyna, że praca kobiet w naszych rękodzielniach nie zastrasza jeszcze demoralizacją, powszechném zepsuciem i ruiną życia rodzinnego, gdzie jedynie człowiekowi cokolwiek szczęścia na ziemi kosztować jest dozwoloném; to wszakże i my Polacy zbliżamy się pomału do tego koniecznego wyniku przeludnienia, postępu, przemysłu i nowożytnéj cywilzacji, którym jest nędza i zdemoralizowanie powszechne. Bach! już i dziś w dziele *L'Ouvrière* niejedna z pań znajdzie uderzający obraz stanowiska wyrobnic większych miast naszych, gdzie przemysł kwitnąć, a moralność w odwrotnym stosunku usychać zaczyna.

„Kiedy wyrobnicy (mężczyzna lub kobieta)—mówi Simon—poczują wstręt głęboki do nieporządnego życia, kiedy spostrzegą czyste, niewysiąkające żródło szlachetnych dążności, silnéj woli i cnoty, wtenczas w nieméj szkolnicy domowego ogniska nauczą się czcić obowiązek. Wiara tak jest niezbędnym pokarmem dla duszy, jak chléb powszedni dla ciała; tylko wtenczas człowiek staje się władcą i panem swego losu, kiedy wpoi w siebie mocne, głębokie poczucie obowiązku. Sumienie daje codzienne zadawalające świadectwo dopełnionego obowiązku, przynosi najwyższą, najsłodszą pociechę we wszelkich cierpieniach i w najsroższéj walce z przeciwnością. Obecnie, kiedy najmędrsze prawa, najmozolniejsze poszukiwania nauki, bezsilną pokazują się warownią przeciw najazdowi nędzy i niedostatku na nasze społeczeństwo, jedyną ucieczkę, zdolną zabezpieczyć nas od zapalczywości nacierającego nieprzyjaciela, znaléść możemy w uznaniu i poczuciu obowiązku. Dlatego, aby to uznanie obowiązku zapuściło silne korzenie w gruncie naszego rozsądku, aby, że tak powiem, wcieliło się w nasze jestestwo, należy podnosić, uszlachetniać i uzacniać przede wszystkiém życie rodzinne. Tylko zeń skuteczne oddziaływanie przeciwko nędzy wysnuć można; byt bowiem człowieka w rodzinie jest najpotężniejszą pobudką, kierującą jego życiem i dążnością.“

ELEGJA

MATKI NA ŚMIERĆ DZIECIĘCIA.

Pięknie, czyściutko na śmierć przystroję,
Małe, kochane dzieciątko moje—
Moją dzieweczkę, co przez chwil parę,
Ledwo święciła życia ofiarę,—
Święciła jedném piersi swéj tchnieniem,
I wzrok za pierwszém zwarła spojrzeniem.

Za mą troskliwość, za sen miłości,
W sennych, różanych latach młodości;

Za macierzyństwa słodycz i bole,
Za ciche szczęście w rodzinném kole;
Za wszystko starczyć ma jéj trumienka
I ta jedyna tylko sukienka.

Niechże sukienka mojéj dzieweczki
Będzie czyściutka, strojna w kwiateczki—
W te niewinności przeczyste godła...
Jakbym ją kiedyś do ślubu wiodła;
Bo już nie dla niéj weselny wieniec,
Chrystus na niebie—jéj oblubieniec!

Święty chrztu krzyżyk, niepokalany,
Na jéj duszyczce—między niebiany
Wzniósł się do Boga—niechże do ziemi,
Ciałko jéj z szaty pójdzie czystemi.
I niech trumienkę ślicznie przystroję,
W któréj ma spocząć dzieciątko moje!

Jan Prusinowski.

---

* * *

Jeden z naszych Prenumeratorów, w notysce wiadomości przesłanych do Redakcji, sprawozdawcę Waszego nazwał *dzwonem oświaty ludowéj*. Jakkolwiek pochlebna to nazwa, i w tym nawet sensie udzieloną została, jednak przebiegając w myśli gawędy moje tygodniowe, owo wieczne kręcenie się w nich, jak chrabąszcz na śpilce, około jednego przedmiotu, mimowoli zapytałem sam siebie, czy w téj gorącéj chęci służenia krajowi, nie stałem się wreszcie i ckliwym i nudnym? Czy w tych słowach nie mieści się troszkę ocukrowanéj prawdy, aby nie kłując zbytecznie w oczy, zwróciła pióro moje na właściwą drogę, które jako nie orle, a gęsie, powinno przesuwać się po ziemi, bawić i w ciekawości zaspakajać, a nie bujać w nadchmurnych krainach, w pedagogiczno-humanitarném uniesieniu?

Być może, jednak wstrzymajcie kamień potępienia. Oświata, to nie marzenie, to wszystko; a jakżeśmy o szerzenie jéj starali się dotąd? Z nami jeszcze fracha, jak mówią chłopi, choć leniwo, choć jak po grudzie, niby marudery za głównym korpusem podążaliśmy i podążamy za ogólnym pędem cywilizacji europejskiéj; ale lud, od ośmiu wieków jakim był, takim prawie pozostał. Rozdzieleni więc w pojęciach ośmiu wiekami, cóż dziwnego, że téj ośmiu-wiecznéj przepaści szczyptami naszych dobrych chęci, ofiar i poświęceń zasypać nie możemy? Cóż dziwnego, że lud biorąc fałsz za prawdę, a prawdę za kłamstwo, stał się wreszcie opoką dla rzucanego weń ewangelicznego słowa?

Nie dziwcie się więc maruderstwu Janka z Bielca, oświata, to cudowna siła, tworzy cuda i cudom daje życie; więc żebrzę o nią, bo i żebrakiem godzi się zostać, gdy idzie o szczęście miljonów. Wreszcie, wielomówstwo w takich razach lepsze jak milczenie. Gazety teraz, niedawno, o ludzie cokolwiek się rozgadały, ale krytyka śpi.... przepraszam, niedawno zamruczała o Kalendarzu dla ludu wydanym przez Franka z Wielkopolski, i szeroko, obszernie, rozumująco... powiedziała kazanie wydawcy za niestaranne jego zbroszurowanie. Pochwaliła także kilkadziesiąt dziełek, szczegółowo wymienionych, tak że wszystkie zrobiła arcydziełami, nie zastanowiwszy się, dlaczego to, pomimo tylu arcydzieł i od tak dawna posiadanych, lud jak był ciemnym, tak takim pozostał?

Zaostrz więc pióro, szanowna krytyko! rozważaj, zgłębiaj, chwal i podnoś, ale i rąb bez żadnego miłosierdzia, bo panegiryczne faramuszki zupełnie nie na dobie. Kraj, to nie salon, w którym pochlebstwo popłaca, a pisarze ludowi, to nie wyperfumowani dandysikowie, mdlejący na wrażenie krytycznéj rąbaniny. Pogniewają się troszkę, popłoszą, mniéj zdatni furkną na bory i lasy, ale pożyteczni pracownicy, nowym zaopatrzeni poglądem, powstaną z nową siłą i hartem, aby w pojęciach swoich o sposobie kształcenia ludu iść naprzód, a lud popychać daléj i coraz daléj....

A niełatwe to zadanie, bo i z uporem starszych i z wrodzoną niechęcią młodszych do nauki walczyć trzeba. Oto mała próbka, którą Wam podaję w dosłownym odpisie z listu pana Faustyna Świdorskiego, Ex-Bociana Wolnych Żartów:

„Na pociechę twoją donieść ci mogę,—pisze pan Ex-Bocian, — że nasze panie, prawie wszystkie, szczerze się zabrały do nauki dzieci wiejskich. Szkółek nie ma, ale są pokoiki dworskie, w których po piętnaście dzieci męczy twój lamentarz, a nawet w kosciele już się pokazują dzieci z książeczkami do modlitwy. U mnie było najprzód akademików trzech, potém przybyło dwóch; zgniewawszy się, kazałem dzieciaki za czuprynę przyprowadzać do nauki. Wieś załamała ręce, a jeden z włościan, którego syna sołtys idący z obławą po uczniów przydybał i przyprowadził do nauki, powiedział mi z pewnym rodzajem bolesnéj wymówki:

— Czy to wielmożny panie nie ma już innych chłopaków, że mi wielmożny pan moje dziecko zabiera do nauki? Czy to ja już najgorszy, czy co?

„Dziś jednak,—powiada daléj pan Świderski,— wszystko się przetrwało, uczniowie lecą jak grad, a matki wiedząc, że się uczą u pani we dworze, ubierają dzieci czysto. Co wieczór więc i co rano w sieni u mnie, jak przed meczetem tureckim, leży

kupa butów, bo dla większéj powagi i ochronienia posadzki przed ośnieżeniem, boso dziatwa odbiera początkowe światło nauki. Naukę nie w szkółkach a w pokojach, uważam za lepszą, bo w nich dzieci nie tylko uczą się, ale ośmielają i przywiązują; a przysłuchując się rozmowie państwa, rozpowiadają co widzieli i słyszeli, i dobrze z tém jest i będzie, bo dwór przestaje być dla wsi Chinami, oddzielonemi murem od reszty świata."

Jakiéjż więc tu trzeba znajomości ludu, aby uczniów gonionych obławą, książką przywiązać do nauki, a ojców ich, uważających naukę za dopust Boży, przekonać, że ta nie tylko nie jest szkodliwą lub zbyteczną, ale nawet pożyteczną i konieczną.

Z wiadomości dalszych donoszę Wam, że w Paryżu zwykła sprzedaż fantów w Hotelu Lambert, na rzecz niedostatnich Polaków, przyniosła tylko 28,000 franków, a więc mniéj o 14,000 fr. jak w roku zeszłym. Niepowodzenie to przypisują mrozowi, który ulodowaciwszy poblizkie jeziora i stawy, ślizgawką wywabił z Paryża prawie całe arystokratyczne towarzystwo.

W Wiedniu zabrano jeden numer *Postępu*, a Redaktora przyaresztowano za artykuł przeciw germanizacji.

W Paryżu, Fran. Sapieha, syn Księcia Eustachego, postąpił w marynarce francuzkiéj na porucznika okrętu. Młodzieniec ten ma lat 25, odbył już dwie kampanije i ma lat osiem służby.

U nas znowu w Warszawie, w pewnym domu na Lesznie, jednego z członków towarzystwa dobroczynności, kwestującego na korzyść tegoż towarzystwa, ledwo za drzwi niewypchnięto, a w pewnym składzie, gdzie przedają krople i proszki, odmówiono kawałka świecy do latarki.

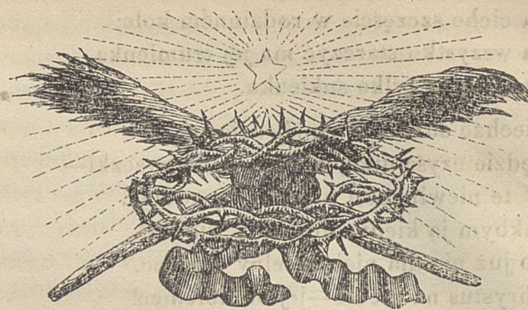
Kurjer zaś czasem po sześć umieszcza ogłoszeń o zgubionych futrzanych kołnierzach do salop.... bez futer.

SZARADA.

Drugi pochodzi z drzewa, także *pierwsze, trzecie;*
Wszystka bywa na drzewie, już w zimie, już w lecie.

A. T.

(Znaczenie przeszléj Szarady:—**POKORA**).



W zeszłym numerze Tygodnika mówiliśmy o kosztownych materjach na meble, z magazynu pana Schlenkera; dopełniając dziś tego przedmiotu, wspomniemy o tkaninach wełnianych, któreśmy tam widzieli, a które, lubo dostępniejsze w cenie, nie ustępują tamtym pod względem gustu i trwałości. Na czele tych kładziemy piękny aksamit utrechtski w rozmaitych kolorach: gładkich i w pasy; między temi ostatniemi podobał nam się szczególnie jasno-brązowy w karmazynowe i czarne pasy; cena jego złp. 14, szerokość łokci 1. Inny aksamit w rzucane gwiazdy niestrzyżone, kosztuje po złp. 15. Do najmodniejszych należy aksamit niestrzyżony, w deseń tworzący kratkę wypukłą, tegoż samego koloru jak tło; ten zupełnie nowy wyrób, zwany *Velour epinglé Jacquard*, zaleca się pięknością, mocą i nader przystępną ceną; szeroki na łokci $2^1/_4$, kosztuje po złp. 16. Dostanie go we wszystkich kolorach. W téjże saméj cenie jest gładki aksamit niestrzyżony, podwójnéj szerokości, w kolorach: szafirowym, brązowym, karmazynowym, zielonym, szarym i solferino. Taniéj od tego wypada jeszcze ryps gruby, jakby przerabiany na szpagacie, wróżnych kolorach, kosztuje bowiem po złp. 13 gr. 10 i złp. 15, szerokość podwójna. Z pomiędzy rypsów najpiękniejszy, ale najdroższy zarazem, jest ryps przerabiany w szerokie pasy jedwabne odmiennego koloru, używany zarówno na meble jak na portjery; śliczny był na tle kamiennym w jasno-szafirowe pasy; szeroki łokci $2^1/_4$, kosztuje po złp. 26 gr. 20.

Magazyn ten zaopatrzony jest również w wielki dobór adamaszków wełnianych, w rozmaitych kolorach. Jedne z nich są jednostajnéj barwy, inne w dwóch odcieniach, w pasy, kraty lub wielki ciągniony deseń; cena adamaszków tych, szerokich na łokci $2^1/_4$, wynosi od 10 do 11 złp. Dostanie także ślicznego wyrobu angielskiego na meble i firanki, zwanego *Last-thing*, w rodzaju pruneli w świetne kwiaty i liście, w najżywszych kolorach; cena jego złp. 8, szerokość łokci $1^1/_4$.

Mówiąc o meblach, dodamy jeszcze, że do salonu najwłaściwszym jest kolor karmazynowy, pąso-

wy lub Solferino, gdyż najlepiéj przypada do białego lub perłowego papieru, powszechnie używanego na wyklejenie salonów. Kolor żółty świetniéj jeszcze wygląda, ale za to mniéj jest trwały od wszystkich czerwonych odcieni. Do innych pokoi ryps lub aksamit szafirowy, a szczególniéj moquetta w pasy lub kwiaty prześliczne, stanowi pokrycie. Ktoby chciał tanim kosztem pokryć meble, zalecamy skórę amerykańską, któréj łokieć kosztuje złp. 4; a że szerokość wynosi blizko łokci 2, krzesło więc nie wypadnie więcéj nad dwa złote. Skóry amerykańskiéj dostanie też w rozmaitych kolorach.

Powiedzmy jeszcze słówko o firankach, z magazynu pana Schlenkera. Najpiękniejsze z nich gipiurowe francuzkie w wielkie medaljony, obdziergane w zęby dokoła, zastosowane do największych okien; kosztują od 120 do 133 złp. Gipiurowych angielskich w bardzo bogaty deseń, dostanie od 56 złp. do 73 gr. 10. Muszlinowe szwajcarskie, haftowane łańcuszkowym czyli szydełkowym ściegiem; gładkie, z szerokim szlakiem po bokach i u góry, wynoszą od 66 do 90 złp.; bogatsze od tych, całe zahaftowane w medaljony z pięknym szlakiem *à la Greque*, od 86 do 113 złp. do jednego okna.

Najtaniéj ze wszystkich wypadają firanki ptifenijowe lub muszlinowe, broszowane z łokcia, z odpasowanym szlakiem; cena ich od złp. 33 do 48. Obierając takie firanki, jest jeszcze i ta dogodność, że można kupić tyle tylko muszlinu, ile wymaga wielkość okien; łokieć wypada na złp. 3 gr. 10.

Do jadalnych i sypialnych pokoi zalecamy piękne perkale glansowane, w kolorowe bukiety. Z pomiędzy tych podobał nam się szczególniéj popielaty w rzucane róże, z odpasowanym szlakiem; inny w bukiety bzu lila niemniéj był gustowny. Ślicznie też wyglądał, zwłaszcza na wieś, perkal w bukieciki złożone z bławatków, kłosów i pąsowych maczków. Cena tych perkalów od złp. 3 do 5.

Widzieliśmy w magazynie panien Kuhnke ładne ubranie ranne, przygotowane do wyprawy. Negliż ten składał się ze spódniczki czarnéj popelinowéj w białą kratkę, otwartéj z przodu i objętéj tak po bokach jak u dołu czarną astrachaniją. Pod spód szła spódniczka biała półbatystowa, objęta u dołu szerokim na pół łokcia wolantem; nad nim cały przód naszyty był wązkiemi falbankami. Stanik zastępowała zuawka mocno otwarta z przodu, z pod któréj widać było zgrabny kaftaniczek półbatystowy, wygarnirowany tak jak spódniczka falbankami. Rękawy u zuawki były szeroko otwarte, z pod spodu zaś wychodziły białe, zakończone u ręki falbanką. Do tego przygotowany był na głowę czepeczek z cienkiéj siatki białéj w formie chłopki, ogarnirowany wkoło ruszą tiulową, daną podwójnie nad czołem, opasany czarną wstążką w białe kratki, zwężaną z tyłu na kokardę.

W tymże magazynie zwróciły uwagę naszą ładne czółka polskie w rozmaitym rodzaju. Jedno z nich czarne aksamitne, naszyte było w siedem gwiazd perełkami z lawy; z boku dodana niewielka kitka z piórek; z tyłu kokarda z końcami.

Inne czółko także aksamitne, przymarszczane było z obu stron, z boku ozdobione czarnym i białym ostem, z tyłu długą kokardą.

Trzecie czółko składało się z plecionych pasków aksamitnych, rozszerzonych znacznie nad czołem.

Śliczny był także ubiorek w rodzaju turbanika, skręcony z szerokiéj wstążki czarnéj i aksamitu. Nad czołem był djadem z róż czarnych.

Do pana Dziechcińskiego nadszedł na obecną porę znaczny transport spódniczek włóczkowych po 26 i 40 złp.; również rękawki włóczkowe czarne z popielatém po złp. 5. Szaliczki na szyję po złp. 3 i 5. Zasługują także na uwagę sukienki dla dziewczynek od czterech do sześciu lat, odrobione starannie i dobrym gustem; cena ich bywa rozmaita, stosownie do materjału, najdroższa, jaką widzieliśmy, z rypsu i koszulka Garybaldka, kosztowała złp. 56. Magazyn ten posiada wielki wybór burnusów, paltotów i kaftaników syberynowych, okładanych astrachaniją i wyszywanych perełkami czarnemi lub stalowemi.

Nowości Zagraniczne.

Le conseiller des dames et des demoiselles.—Suknie lekkie z tarlatanu i illuzji, prawie wszystkie robią się z wązkiemi falbankami, dodając do niektórych jeszcze na wierzch gładkie welony, wzniesione i podpięte bukietem z jednego boku. Staniki gładkie zwykle mają berty i rękawki zastosowane do garnirunku sukni. Przejdźmy teraz do sukien wizytowych, które się odznaczały dobrym gustem Suknia czarna jedwabna, miała wolant 16 centymetrów szeroki, układany w kontrafałdy, objęty u dołu i w górze plisą aksamitną. Stanik gładki z szarfą. Rękawy wpółotwarte, obszyte falbaną. Suknia popelinowa, naszyta u dołu cztery razy aksamitką czarną szerokości dwóch palcy, które na przednim brycie zawracały się do stanu. Z obudwóch stron aksamitek szły jeszcze dwie plisy jedwabne i rzęd guzików aksamitnych na przednim brycie. Stanik był gładki, rękawy z wyłożeniem przy ręku, ubierane aksamitem i materją. Do kapeluszy czarnych akamitnych mieszany bywa nowy kolor *Wezuwjusz*; barwa jego bardzo ładnie wygląda.

Zdaje się, że obecnie wszystkie kobiety dały sobie słowo ubierać się jak najskromniéj; dlatego wyroby angielskie używają powszechnie wielkiéj wziętości, odznaczają się téż równie tanią ceną jak elegancją, a choć mieszane z bawełną, jednakże bardzo ładnie wyglądają. O ile suknie noszą skromne, najwięcéj wełniane, o tyle znów zbytek przeniósł się do spódniczek, gdyż te zdobią nawet złotem. Dawniéj znano tylko dwa rodzaje spódnic: białe, przyozdabiane w różny sposób, dla kobiet wykwintnych; a czarne dla oszczędniejszych. Dziś nastąpiła zmiana w téj części ubrania; teraz bowiem robią spódniczki w najżywszych kolorach. Do najbogatszych a bardzo używanych należą z mory angielskiéj, porzeczkowego lub niebieskiego koloru, które zdobią po nad obrębem plisami z materji lub aksamitu czarnego, obszytemi bogato białym sutaszem. Ostrzedz nam jednak wypada, że te zbytkowe spódniczki przystoją tylko kobietom pojazdem jeżdżącym; dla pieszych właściwsze są w pasy czarne z białym, lub też z czarnéj mory angielskiéj, zdobne czarnym aksamitem, skromne a bardzo eleganckie.

Burnusy zwane *Talma* wchodzą w użycie, jednak ich nie zalecamy, gdyż zrobione z zimowych materyj są zbyt ciężkie, muszą więc ustąpić pierwszeństwa okryciom z rękawami, o wiele wygodniejszemi na tę porę.

Astrachan i naśladujący go plusz, zawsze są w użyciu; przyozdabiają niemi nie tylko okrycia, ale i suknie.

Kapelusze dość otwarte najwięcéj noszone: kolor czarny i biały przemaga w nich stanowczo. Dziecinne kapelusze bardzo małéj uległy zmianie. Kształt tak zwanych *paziów*, jest tylko modyfikacją *Tudora*. Zdobią je zawsze piórami spadającemi; dla chłopców brzeg Tudora obejmują astrachanem.

Kołnierzyki, równie jak i całe ubrania kobiet, im skromniejsze, tym więcéj odpowiadają dzisiejszemu duchowi czasu; do najpraktyczniejszych należą kołnierzyki płócienne, objęte piką lub wązkim haftem; stojące są zawsze najładniejsze i najwłaściwsze do dzisiejszych ubrań, należy jednak zwrócić uwagę, że w nich do twarzy jest tylko osobom mającym szczupłą i długą szyję.

Journal des jeunes personnes.—Haft i wyszycia sutaszem powszechnie dziś są używane. Zdobią niemi suknie po nad obrębem i na wszystkich szwach, do innych dodają jeszcze perełki czarne. Bardzo noszą chustki wyszywane i lekko podwatowane; jest to doskonały pomysł, gdyż ochraniają od zimna. Również chustki małe z włóczki bardzo się rozpowszechniły pomiędzy młodemi panienkami, dla których stanowią i miłe zajęcie, gdyż łatwo je zrobić szydełkiem.

Spódniczki często dają się widziéć bogatsze od sukien zwierzchnich. Ulubione są téj zimy, tak zwane andaluzyjskie z kaszmiru, zdobne deseniem naśladującym gipiurę czarną lub białą, wyrobionym na téjże materji.

Suknie strojniejsze w ogóle garnirują tylko u dołu. Falbany proste i bufowane, hafty, pasmanterje, aksamit równie są używane do ich przyozdobienia. Suknie skromniejsze są zwykle gładkie, czasami z przodu dodają rząd guzików dla ozdoby. Staniki sukien balowych robią z bawetami, a na mniejsze zebrania z okrągłym stanikiem do paska. W ogóle tego roku bardzo mało noszą sukien do gorsu.

Opis ryciny.

Fig. 1. Suknia jedwabna fijołkowa, z falbankami obszywanemi gipiurą. Stanik gładki pod szyję, garnirowany falbanką imitującą pelerynkę. Rękawy fałdowane przy ramieniu, marszczone przy ręku do gładkiego paska i naszyte falbankami. Kołnierzyk i rękawki muszlinowe. Kapelusz czarny jedwabny, ubierany aksamitem.

Fig. 2. Suknia popielata jedwabna, naszyta plisami zielonemi. Każdą plisę przegradza falbanka fałdowana w kontrafałdy z popielatéj materji. Stanik okrągły do paska, zapięty pod szyję, z wyłożeniem naśladującém stanik wpółotwarty. Rękawy przecinane przez łokieć do ramienia, naszyte plisą zieloną i falbankami. Kołnierzyk webowy stojący. Krawatka czarna jedwabna. Rękawy półbatystowe z mankietem webowym. Ubranie głowy z aksamitu i koronki.

KORRESPONDENCJA.

Panu Romanowi z Zaścianka.—Szarady, nie tylko określeniem, ale i wdzięczną formą powinny się koniecznie zalecać. Dlatego dwie tylko pierwsze wydrukowaliśmy, trzecia potrzebuje przerobienia. Treść powieści bardzo drażliwa, a ludzie mają i oczy i nos: czego nie dopatrzą, to zwąchają. O przysłanie jednak prosimy, a po przejrzeniu doniesiemy, jakie nasze zdanie.— —Panu Leonowi W...—Uniżony sługa W.Pana Dobr. Janek z Bielca, malutka figura, ale i duszą i sercem syn swojéj ziemi, w faramuszki więc i termedje różne zamorskie i niezamorskie ani myśli się wdawać.— —Pani Paul...—Myśl nasza zawsze przy Was; w Bogu nadzieja!—po burzy zawsze prześliczna następuje pogoda.— —Pani Ste. Tre...—Umywalnia lakierowana i emaljowana kosztuje od 20 do 33 złp.— —Pani J. Chole...—Resory leżące do powozu płacą się od 400 do 600 złp. Burnus o jakim pisano, od złp. 200 do 260. Ubranie do sukni od 20 do 30 złp.— —Panu Ale. Olendz...—Za łańcuszek, o jaki się zapytywano, płaci się od 12 do 20 złp.

Sprostowanie. W przeszłym numerze, w ogłoszeniu o wyjściu Praktycznéj Gramatyki Polskiéj przez J. Łukaszewskiego, powinno być: przez *J. Łukomskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka z modami.

---

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



MAGAZYN MÓD

w Warszawie.

nro: 3.

Dodatek do Nru 3 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 18 Stycznia 1862 roku. *6 Stycznia.*

PODMOWY TOWARZYSZA KOSTKI

OBRAZEK HISTORYCZNY

Z CZASÓW JANA KAZIMIERZA Z ROKU 1651.

SKREŚLONY PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza.

(Dalszy ciąg).

2.

MOWA TOMASZA MAKUŁY.

Kiedy tak za trumną grono szlachty postępuje, pomrukując kiedy niekiedy słowa łacińskie pieśni przez księży śpiewanéj, a włościanie idą tuż za szlachtą, przyglądając się ciekawie ich kontuszom, żupanom, karabelom, i poszeptując nazwiska niektórych znanych sobie lepiéj, wówczas jeden z włościan wyniosłéj postawy, na lat przynajmniéj sześćdziesiąt wyglądający, prosty, rosły i dostatnio przybrany, z jedną ręką założoną za pas, w drugiéj trzymając kij prosty sękaty, okuty w mosiądz i żelazo, wysunął się naprzód, minął szlachtę, trumnę i przystępując do księdza proboszcza, cóś mu zaczął szeptać do ucha. Proboszcz odpowiedział, znowu nadsłuchał, wreszcie kiwnął głową i obracając się do postępujących za sobą, dał znak a wóz z trumną przystanął i wszyscy postępujący za nim właśnie w tém miejscu, gdzie się drogi krzyżowały a na małym wzgórku wznosiła się statua Matki Bozkiéj, piastującéj Dzieciątko Jezus, ukutéj z kamienia polnego i okrytéj mchem i pyłem niejednego lat dziesiątka. Wówczas włościanin ów, podsunął się ku figurze i stając tuż pod nią, przerzucił oczami po całém zgromadzeniu i po chwili, robiąc znak krzyża świętego, rozpoczął mowę temi słowami:

„W Imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen. Pobożni Chrześcijanie! Nie pierwszyzna to dla mnie, żegnać ustami memi umarłe ciała, ale pierwszyzna patrzéć na tylu wielmożnych panów i dziedziców, pospołu z prostym ludem, jakby w jakiéj równości idących za martwemi zwłokami człowieka z prostego stanu. To téż nizkim pokłonem do saméj ziemi z całą gromadą, dziękuję wielmożnym państwu za ich pańskie kroki, co się nie wagowały sposponować w téj usłudze chrześcijańskiéj.“

W tém miejscu mówca przerwał, pokłonił się kilka razy czapką ku saméj ziemi, lud tłumnie z płaczem i błogosławieństwem rzucił się do nóg szlachty, ujmując każdego rękoma przy samych stopach. Gdy chwilowe zamieszanie uspokojone zostało, włościanin tak daléj prowadził przerwaną mowę:

„Żałujecie ludzie tego brata swego, pożegnajta się więc z nim na drogę wieczności. Już on do was nie przemówi, już nie uczci was Boskiém słowem, ani sąsiedzką poczciwością, bo oto martwe ciało oddał ziemi, a z duszą poszedł do bram wieczności. Ale nie płaczta go i nie żałujta—żywot ludzki to nie delicyje, a delicyje nie dla nas prostego narodu. To téż i nieboszczyczek nasz kochany, ś. p. Walenty Kosmala, żywot swój nie prowadził ani w rozkoszy, ani w dostatku.

„Kiedy za najjaśniejszego Króla Zygmunta trzeciego, jaśnie wielmożni i wielmożni panowie umyślili inaczéj się w naszéj Polsce rozporządzić i obrali se za przewódzcę Wojewodę krakowskiego Zebrzydowskiego, to wtedy dziedzic nasz, świeć Panie nad jego duszą, ś. p. Okoński zawołał nas kilku młodziaków i rzekł:—Chłopcy! pójdźta za mną przeciw przybłędom, co obsiedli nikéj robactwo nasz majestat królewski, i radzą i zyski ciągną, a nam nie dają choćby na owinięcie palca. Jak wypędzimy przybłędów i Jezuitów, to się wszystko poprawi i wy niejedno obliźniecie, bo nasza w tém będzie głowa.—A i oblizaliśmy, bo w czeladnych szeregach pod Guzowem przestrzelili mi udo kulą, a Walentego królewscy tak zbili, za to że się miesza do szlacheckiéj sprawy, że potém lizał się w domu z kilka niedziel i ledwo od śmierci wylizał. Potém nastała wojna ze Szwedem, dziedzic znowu namówił, a my poszli i w Parnawie jak nas ze ś. p. Walentym w nocy Szwedzi za łeb przyciągnęli do fortecy, to o mało że nas nie zamorzyli głodem.

„Od Szweda pognano nas ku Smoleńskowi, co

go wtedy Król Zygmunt oblegał. Myśwa byli pod hetmanem Żółkiewskim, i choć było nas ino osiem coś tysięcy, takeśwa napadli pod Kluczynem na 30,000 przeszło nieprzyjaciela i rozegnali go w puch po świecie. Śmierć dobrze się między nami uwijała, ale kiedyśwa na pobojowisko poszli za zdobyczą, to nas napadło trzech wielmożnych panów szlachciców, zbili pałasiskami, że ino plecy chrobotały i rzekli:—A zasie chłopie od wojennéj zdobyczy! w czasie wojny chamska sprawa, to za piecem ława; ruszaj! ruszaj!—i bęc przez plecy.

„Na dziedzicu pas uczciwie stężał, a myśwa coś ze dwa tygodnie mieli plecy jak węgiel. Potém trzymali mnie w Moskwie pod dowództwem Gąsiewskiego, a Walentego pognali pod Żółkiewskim do Warszawy. Dziedzic sprawił sobie nowy kontusz, bo stary był zaciasny. Ja z głodu wychudłem jak szczapa, a Walenty z choroby wyłysiał jak kolano.

„Kiedy z hetmanem Żółkiewskim wjeżdżali do Warszawy, to radości tyle było, że zdało się w kamieniach słyszéć radowanie. Więc dumnili się drudzy, dumnił się i Walenty, boć i wedle jego głowy przelatywały kule i świstały szabliska; ale jak to rzekł, to jak go wielmożny Korsuń z Bobrzynka urznął w kark, to leciał od jednéj ściany do drugiéj i potém bęcnął na ziemię, a nogi fikły mu do góry aż na głowę, bo powiedział:—Wara chłopu od przechwałek! u was ręce ale u nas głowa, a podła natura nigdy szlacheckiéj sprawie nie wydoła.—

„Potém z dziedzicem naszym przyłączyliśmy się do Sapieżyńskich (*); wtedy znowu spotkałem się z Walentym, darliśmy co starczyło, co w ręce wlazło, ale ino utyło się i poprawiło żywota; na cudzéj pracy panom trzosy podrosły, a za nami po wsiach zostało tyla płaczu i przekleństwa, że potém długo, het! to wszystko miałem w uszach.“

W tém miejscu szlachta zaszemrała między sobą, a pan Firlej Bronecki, ów przysiadły szlachcic, szepnął półgłosem:—Ażaliż to szlachecka rzecz, słuchać chłopskiego kaznodziejstwa?—Ale go pociągnął za kontusz pan cześnik Zarzecki i rzekł: —Panie bracie, pofolguj chłopskiéj mowie, może to natchnienie Boże, a z woli Bozkiéj nigdy nie idzie szkoda tylko pożytek!—Pan Bronecki nic już na to nie odrzekł, tylko z dąsem pokręcił wąsa, a Tomek jakby podsłuchał szeptów szlacheckich, mówił daléj, kłaniając się pokornie czapką ku ziemi:

„Niech te słowa moje nie będą z przeszkodą jaśnie panom, bo one nie wychodzą z przymówiska, ino z prawdy. Jaśnie panowie, to jakby ojcowie nasi, i wiemy że złego złe kole, a dobrego to i drągiem z miejsca do gniewu nie ruszy.

„To też i w ś. p. Walentym potulności było jak u gołębia, i kiedy na naszą Polskę strach był padł od Turków i nasz hetman Żółkiewski położył swoją głowę pod Cecorą, to rzekł do nas wielmożny Kozubski, bośwa pod niego uciekli i on nas wykupił z poddaństwa od wielmożnego Okońskiego: —Chłopcy! bisurman ćmą wali na naszą Polskę, idźwa jéj bronić, wyśta już nauczni wojenki, to powąchajta trocha i krwi bisurmańskiéj. Przecieć to w obronie naszéj religji, naszéj Matki Najświętszéj i naszéj kochanéj ojczyzny.— —Oj! znamy my to, znamy wielmożny dziedzicu—odrzekłem.—Matki to nasze, matki, ale u prostego narodu Matka Najświętsza cieszy i łzy ociera, a matka-ojczyzna ściska i łzy wyciska, a między nami coraz cięższéj i cięższéj.—Tak pan na to:—Idźta! a nie pożałujeta.— Więc poszliśmy i znowuśmy pod Chocimem wojowali, a gdy krocie Tatarów i Turków wpadło na naszą niewielką garstkę, pod przewództwem hetmana Chodkiewicza; my patrzemy ze ś. p. Walentym, a tu wielmożnego Olszanowskiego z Woli Zaleskiéj opadło cosić ze sześciu tego plugastwa i nuż rąbać. Tak rzekę:—Ruszwa w pomoc, bo to poczciwy szlachcic.—I odbiliśmy, ale poczciwy pan już się nie wylikował, zmarł w domu i z nami ściskał się przed śmiercią jakby w równości.“

— Prawda... jak Bóg żywy, prawda, — przerwał Olszanowski rozrzewnionym głosem, — bo to był mój rodzic kochany.

„Dziękuję wielmożnemu panu, — odezwał się Tomasz z nizkim ukłonem, — że wielmożny pan przyznał prawdę prostemu człowiekowi. Ale niedługo mieliśmy drugą przygodę pod Gniewem, kiedyśmy znowu ze Szwedem wojowali. Rajtary przytarli nas chmarą, więc my z małą forsą do swoich, a tu kulki jak osy brzęczą wedle uszów. Obadwa z Walentym wyciągawa nogi, a tu brzdęk przed nami młody szlachcic, bo mu dopiero mechociny rosły na brodzie. Tak nam żal się zrobiło młodéj krwi szlacheckiéj i rzekę:—Walenty, weźmy go oburącz i zanieśwa do swoich.—Walenty przystanął, przyjrzał się i rzekł:—To już trup, ale go weźwa, bo bodaj czy to nie młody Kaliniecki z Gradzyna.—I wzięliśmy, choć człek nie był pewny swego karku, a śliczniuchne to było, bielutkie, delikatniutkie....“

W tém miejscu, z pomiędzy słuchającéj szlachty ozwało się łkanie, jakby z wielkiéj boleści; wszystkie się więc oczy zwróciły ku téj stronie, Tomasz zamilkł, a wkrótce dały się słyszéć z przerywa-

---

(*) Tak zwano pułk Jana Sapiehy, który obrawszy sobie za marszałka Jana Zalińskiego, na początku roku 1612 połączył się z wojskiem powracającém z Moskwy i razem z niém z dóbr królewskich i duchownych gwałtem zaległy żołd wybierał.

nym jękiem wymawiane słowa: „Mój syn jedyny... moja cała pociecha.... moja nadzieja..... wiem to, wiem... poczciwy Tomaszu....“

Był to głos serdeczny ojca, owego suchego, zawiędłego szlachcica, co to pod Bieczem, w bitwie przeciw rozbójnikom, dostał cięcie w głowę i potém walczył mową przeciw panu Zarzeckiemu. Mówiąc to, wyciągnął ręce, jakby obrońcę, a nawet wybawiciela swego syna, bo młody Kaliniecki rzeczywiście powrócił wtenczas do życia i zdrowia, i dopiero potém w lat sześć zginął pod Koniecpolskim przy oblężeniu Pucka; otóż wyciągnął ręce, jakby Tomasza chciał przytulić do piersi, ale wnet zmiarkował się, ręce poniósł ku oczom dla obtarcia łez, słuchająca gromada westchnęła ze współczuciem, a Tomasz mówił daléj:

„Nie dla przechwałki to, jaśnie panowie, te różne z wojny kawałki wywodzę, ino dlatego, że chłop i na wojnie na cóś się przyda; że jak mu zawierci w sercu, to gotów głowę pod miecz położyć, i że choć my prosty naród, to równie z jaśnie państwem modlimy się do Boga. To też razem z naszym dziedzicem modliliśmy się do Najświętszéj Panny; pan jako pan, na ofiarę dał złoto, my posty i modlitwę, i pan przebył wszystko szczęśliwie, a nas poranili Turki na wycieczce i potém choróbsko tak nas ścisnęło, żeśwa nic o świecie nie wiedzieli.

„Kiedyśwa za wolą Boską wrócili do domu, to mnie brakowało dwóch palcy u rąk, Walentemu trzech; ja miałem udo przestrzelone i porąbane plecy, a Walenty rękę w ramieniu i głowę. Ja z sił na piękne opadłem po chorobie i nie mogłem nijakiéj chytać się roboty, Walenty znowu dychał i zawdy mu tchu brakło. Ale rzekę:—Mój Walenty, między swemi będzie łatwiéj. Przecież to w Polsce jeszcze ni chleba, ni ziemi nie brakuje.—

„Ale jakeśwa wrócili, tak łabas nas podstarości od dawnego dziedzica, mówiąc co my zbiegi i hultaje. My sumitujewa się, a nas wiążą w postronki; my z hardością mówiewa o naszéj potyrce na wojnie, a oni z kańczugiem na plecy. Tak myślemy se, masz tobie ojczyznę, masz tobie wojnę; prosiewa o kawałek gruntu, a oni rzekli, co dla zbiegów ziemi nie ma, a wszystko ostro i wszystko z odgróżką. Tak rzekę:—Źle, mój Walusiu, trzeba uciekać.—I uciekliśmy aż pod wielmożnego Bamickiego. Poczciwy pan osłonił nas ale i zapłacił okupne, a podstarostowie od dawnych naszych dziedziców to się o nas ledwo nie pozażyrali, co duchem chcieli nas hapnąć do siebie.

„Po śmierci pana przystawcy dworscy pozmieniali się, a na nas zwaliła się bieda: do roboty goniono cały tydzień, fantowano, strofowano, a za wszystko odpowiadała skóra. Tak rzekę:—Waluś, nie wytrzymam, i podstarościego przy okazji palnę na odlew, bo kiedy my bronili ojczyzny kochanéj, to on wyligiwał się pod pierzyną, a teraz nami nikéj psami poniewiera.—A Walenty na to:—Nie waż się, bo jak się na takiego zerwiesz, to ręka już nie twoja, ino katowska.— —Dla Boga! — rzekłem, przytuliłem uszy i utrapienie nasze w sobie zgryzłem.

„Kiedy wszystko obrócili w pańszczyznę, to nijakiéj rzeczy: ni soli, ni skóry, ni wódki, ni nici, ni kukiełki nawet zabronili kajindziéj kupować, ino we dworze. Szemrało się ale i płaciło w dubelt; a co to z tego było obrazy Bozkiéj, co płaczu! to aże dziś ciary mnie po skórze przechodzą. Po trochu więc straciło się wszystko, co się krwawo wyrobiło i człek został jak palec. Tak rzekę: —Uciekajmy do Kozaków, wszak my to szablisku nie obcy.—A Walenty odrzekł:—Kozaczyzna to rzecz dobra, ale na wojnisku wytyrani, nie ma w nas na Kozaka ni siły, ni zdrowia.— —Więc uciekajmy pod innego pana—odrzekłem,—bo tutaj wyciągnęli z nas wszystko, więc niedługo i duszę wyciągną.—Więc uciekliśmy pod pana Wojnicza, co zawdy krzyczał:—zabiję i zapłacę.—Co prawda nie zabił, ale ino tyle, że się w człeku dusza kołatała.

„Potém uciekliśmy do Wólki Stawowéj; wielmożny pan Zarzecki dał za nas okup, i od dwóch lat dopiero zaznaliśmy spokojności i poszanowania. Ale pomarły nam żony, myśmy na zdrowiu zapadli i ja się wyleżałem, a ś. p. Walenty, mój przyjaciel, mój towarzysz poszedł z duszą do Boga Przenajświętszego, aby się użalić na takie pospowanie nas i poniewierkę, i odpocząć po zmartwieniach i różnych zgryźliwościach.“

Tu ozwał się płacz młodego chłopczyny, ale Tomasz tylko chwilkę przystanął i mówił daléj:

„Żegnamy cię więc kochany nasz bracie! bojowałeś, tyrałeś się, broniłeś naszéj ojczyzny kochanéj od Szweda i Turka; to też z téj saméj ziemi kochanéj będziesz miał pierzynki, co ci je uścielą jaśnie wielmożni panowie i twoi krewniacy, przyjaciele i sąsiedzi. Nie zaznałeś za życia honoru i obserwacji, za to cię po śmierci jaśnie panowie uhonorowali. Byłeś za życia jakby sierotą, jakby jaki wycieruch, i na taką wytyrkę i sieroctwo zostawiłeś jedynego dzieciucha chłopaczynę. Idź więc z duszą, kochany nasz Walenty do Boga Ojca w Trójcy Jedynego, pokaż Najświętszéj Pannie nasze rany, naszą poniewierkę i uproś o miłosierdzie dla nas biedaków, a tobie niech świeci światłość wiekuista na wieki wieków. Amen.“

Gdy zamilkł Tomasz, lud z płaczem rzucił się

ku trumnie, obejmując ją przy głowach jakby z żegnaniem umarłego; szlachta obstąpiła Olszanowskiego i Kalinieckiego z pociechą i współczuciem ich boleści, a Tomasz nie ruszając się z miejsca, popatrzył z pilną uwagą po szlachcie i po chwili znowu się odezwał:

„Nim zejdę z tego miejsca, to wprzódy pokłonem i słowem mojém upadam niziuchno do nóg jasnych panów i proszę, aby jaśni panowie dla miłości Pana Boga nie wzięli do serca żadnéj zawziątki na starego Tomasza. Bo kiedy w człowieku serce z żalu szaleje, to językowi zawdy wadzi rozum i duchem pędzi tam, kaj nie powinien. Gadało się bo się gadało, ale nie w przymierzaniu do jaśnie wielmożnych panów, bo jaśnie panowie ojcowie nam chudziakom; a nie, jaśnie panowie, ino mówiłem do powszechności, do naszéj ojczyzny, co mówi do nas: *chodźta!* a potém zabacza żeśwa poszli kaj kazała. Więc sercu żałośnie, więc serce zachodzi krwawym płaczem, gdy człek pomyśli, że bez niewinność przechodzi przez takie zgryźliwości; a ja tego nie mówię z siebie ino samego, ale z myśli całéj gromady, a nawet z myśli wszystkich gromad chłopskich. Więc niech jaśni panowie baczą na słowa moje po sercu i po sprawiedliwości, a nie po wyższym swoim rozumie; a wtedy stary Tomasz spać będzie spokojnie, że mu się żadna krzywda nie stanie.“

Zastrzegłszy tak sobie przebaczenie, Tomasz zstąpił z pagórka i wprost poszedł ku szlachcie, chcąc złożyć pokłon przyjętym przez włościan zwyczajem. Postępując nieśmiało, wzdychał i trzymał głowę zwieszoną ku ziemi, rozważając zapewne odwagę swoją, tak w owym czasie niezwykłą. Ale zaledwie pierwszemu z brzega objął kolana, Kaliniecki z Gradzyna postąpił ku niemu i zapytał się drżącym głosem:

— Człowieku! twoje miano Tomasz Makuła?

— Juścić tak, proszę wielmożnego pana.

— Toś ty syna mego na pobojowisku ratował od śmierci pod Chocimem....

I nie czekając odpowiedzi, pan Kaliniecki rozłożył ręce, objął za szyję Tomasza, i tuląc go do siebie mówił z łkaniem:

— Mój aniele, mój dobrodzieju... uratowałeś go od dziczy tureckiéj, a potém... moja pociecha jedyna... mój jedyny spadkobierca i mienia i imienia... moje złotko... moje słoneczko... zagasło na zawsze pod kulą Szweda heretyka. Ja sam teraz na świecie... herb mój idzie w zatracenie!....

Łzy rzęsiste przerwały mowę rozrzewnionemu starcowi; Tomasz trzymany za szyję, mając ręce wolne, ciągle usiłował zniżyć się do nóg Kalinieckiego, ale nie mógł tego żadnym sposobem uczynić, i dopiero gdy uczuł opadające ręce, zniżył się ku kolanom i rzekł:

— Wielmożny panie, Bóg dał, Bóg wziął, a co poszło w świętą ziemię, to nawet krwawym płaczem nie wstanie, ino mocą Bożą.

— Prawda... prawda, ale i ból w człeku to także moc wielka.

A wtenczas cześnik Zarzecki podsunął się ku Tomaszowi, wyciągnął ku niemu rękę, uścisnął i rzekł kilka słów przychylnych, nazywając bratem i poczciwym człowiekiem; za nim poszła reszta szlachty: a gdy przyszła koléj na Olszanowskiego, którego ojca także Tomasz z Walentym odbił z tureckiéj niewoli, to pan Olszanowski, choć był zatwardziały szlachcic, choć człowieka nieherbowego uważał za nic, prawie nie za boskie stworzenie, jednak poruszony pamięcią rodzica i przekazaną mu wdzięcznością, objął głowę Tomasza, przycisnął ją z całą serdecznością do piersi, i całując go w czoło i oba policzki rzekł:

— Choćbyś był z pogańskiego rodu, mój bracie, to warteś pocałowania szlacheckiego, bo w okazji z rodzicem moim począłeś sobie nie jak prosty człowiek, ale jak szlachcic z rodu, z ojca i pradziada. Przychodź do mnie mój bracie, a w Wólce Zaleskiéj znajdzie się dla ciebie kawał roli i łąki, co ci z podpisem w obec panów braci a wielmożnéj szlachty nadam na wieczne czasy bez żadnéj dworskiéj powinności.

— To ja wezmę sierotę po Kosmali, — odezwał się Kaliniecki.

— A my zrobimy składkę na niego i oddamy na prowizją, — odezwało się kilku innych szlachty —aż do dorośnięcia.

— Ja Makule dam konia!

— Ja owcę z jagnięciem!

A pośród tych głosów, oznajmiających z taką bezinteresowną serdecznością rodzaj ofiary, Tomasz Makuła stał z gołą głową, tylko co obdarzony tyle zaszczytném dla siebie ucałowaniem Olszanowskiego; patrzył po wszystkich, jakby swoim oczom i uszom nie wierzył, westchnął parę razy, wreszcie łzy pokazały mu się w oczach, i składając ręce w stronę ku proboszczowi, rzekł:

— Wielmożny kanoniku, naucz mnie, czy to urok, czy spanie takie przyjemne.

— To cud Boski, mój synu, — odrzekł proboszcz, — uklęknij i podziękuj Bogu.

Makuła w téj chwili upadł na kolana, wzniósł ręce do góry i zaczął odmawiać *Ojcze nasz*, szlachta to samo na klęczkach otoczyła go kołem, a gdy powiedziano *Amen*, wtedy odezwał się głośno ksiądz Pilecki:

— Wielmożni, a mnie wielce miłościwi panowie i bracia! Spragnionego i łaknącego sprawiedliwości chrześcijanina, a syna polskiéj ziemi, napoiliście wdzięcznością i nakarmiliście poczciwém obejściem. Żywy wziął więc zapłatę swoją, ale o umarłym macie zapomnieć? Miłościwi panowie! nieboszczyk Walenty Kosmala wojskowo żywot prowadził i wojskowość zaprowadziła go do żywota wiecznego, uczcijcie go więc po wojennemu. Bronił waszych domostw i waszego zdrowia swoją ręką i piersią, niechajże wasze ręce poniosą martwe jego zwłoki. Panie cześniku Zarzecki, proszę was z sobą do przodu.

Natychmiast poruszyła się szlachta, i tak skoro i ochotnie, że nie pozwolono proboszczowi wypełnić téj obywatelsko-chrześcijańskiéj posługi. Zdjęto więc trumnę z wozu, ułożono ją na barkach szlacheckich; kapłani zaintonowali hymn pogrzebowy i cała gromada pobożnych ruszyła za trumną, nie mogąc dosyć nadziwić się poczciwości szlachty, która swój herb odsunąwszy na bok, tak wielką cześć oddała zwłokom prostego człowieka.

(d. c. n)